



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: MALUCH CZYLI SAMO ŻYCIE

Głównym bohaterem najnowszego filmu Krzysztofa Wojciechowskiego „Fetysz” jest nie człowiek, ale przedmiot: pojazd o napędzie spalinowym, znany pod oficjalną nazwą fiat 126 p, ciasny, lecz głośny wehikuł, który miał zrewolucjonizować polską motoryzację, a który zdołał już przysporzyć tysiącom ludzi tyle trosk i kłopotów.

W krzywo tłoczonych szybach „malucha” odbija się, niczym w krzywym zwierciadle, niemały szmat naszej polskiej rzeczywistości; naszych złudzeń, aspiracji, rozterek, możliwości i niemożliwości. Nic przeto dziwnego, że Krzysztof Wojciechowski dokonując swej kolejnej filmowej „sondy socjologicznej”, uczynił to poprzez „pryzmat” fiata 126 p. Nic też zaskakującego, że przy takim założeniu „Fetysz”, rozpoczyna się jako komedia, aby z biegiem czasu nabierać cech ponurej niemal groteski.

W filmie Wojciechowskiego dziadek-rencista, postawiony na straży w oknie, nie zdołał dopilnować rodzinnego „malucha” garażującego pod śmietnikiem i to sprawiło, że jego syn, magister-mikrobiolog, inteligent pochodzenia chłopskiego w pierwszym pokoleniu, musiał złamać wyssane z mlekiem matki niewzruszone zasady etyczno-moralne i rozpocząć... seryjną kradzież fiatów 126 p koloru „piasek pustyni”. Aby nie stracić twarzy przed rodziną jako patentowana oferma, która nawet własnego samochodu nie potrafi odnaleźć, no i... żeby mieć czym jeździć kiedy już raz się człowiek do cna wyprzedał i poświęcił nawet rodzinne oszczędności zgromadzone na paradny nagrobek na wielkim cmentarzu. W ten oto sposób nieszczęsny inspektor „sanepidu” mgr Rudy tropiący dotąd z całą bezwzględnością prusaki i karaluchy w restauracjach i barach prowadzonych przez wstrętnych paskarzy-ajentów sam staje się perfidnym, przemyślanym, nieuchwytnym przestępcą wzbudzającym podziw i zazdrość wśród złodziei-zawodowców. Wpadnie w końcu w ręce organów ścigania, ale i wtedy, w zupełnie paradoksalny sposób, szczęście się do niego uśmiechnie: dzięki nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności (którego tutaj ze zrozumiałych względów, nie zdradzę) wyjdzie na wolność, oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Tyle, że wtedy będzie miał już dosyć po dziurki w nosie statusu posiadacza „malucha” i wszystkich problemów z tym statusem związanych...

Śledząc w miarę rozwijania się fabuły, kolejne perypetie magistrza Rudego, ocieramy się wraz z nim o świat, w którym przyszło mu żyć, pracować a także... przestępować prawo. To świat szarych, jednostajnych osiedli mieszkaniowych, barów wypełnionych pijaczkami, sprzedajnych sprzedawców, cynicznych urzędników, cwaniaczków-kombinatorów umiejących podleźć gdzie trzeba i jak trzeba - załatwić „od ręki” każdą sprawę...

Lecz jest jeszcze świat inny, ku któremu wydaje się wskazywać Wojciechowski jako na remedium: to wieś, to natura, wśród której wyrosli, z której uciekli kiedyś do miast bohaterowie „Fetysza”. Wieś - ze swym zdrowym powietrzem, z czystą atmosferą, z prostymi, ale jakże istotnymi i słusznymi zasadami życiowymi...

Może i rację ma Wojciechowski, kiedy zwierza się w jednym z wywiadów, że swoje paradokumentalne, „organiczne kino” - kino „podporządkowane rzeczywistości” robi dlatego, m.in., iż: „Nie mogę zgodzić się z formułą nawet najlepszych reportaży telewizyjnych, tych interesujących, z których wynika, że zwykle winien jest konkretny człowiek, a nie coś więcej - pewne mechanizmy. Panuje jakaś moda na pokazywanie wszelkiej deprawacji, wynaturzeń, ale nikt nie zadaje sobie trudu, by odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd się to bierze? Tymczasem zostały zaprzepaszczone gdzieś nasze, trochę może zaściankowe, ale pozytywne przecież, wzorce wychowania. Wyśmiewa się pewne staropolskie, trochę sarmackie kanony wychowawcze, lecz one uczyły jakiejś poczciwości, przywiązania do rodziny, do ludzi żyjących w jednym kraju.” Racja. Tylko, że w „Fetyszu” Wojciechowski sam też - mimo bystrej obserwacji - nie tak wiele ma do powiedzenia no temat spraw, mechanizmów i problemów, które porusza w swym wywiadzie. Zaś jego ukłon w stronę wsi jest wprawdzie piękny i wzruszający, ale i niezbyt odkrywczy.

Ogląda się „Fetysz” doskonale. Widać w tym filmie rękę fachowca, akcja toczy się wartko, sytuacje są zabawne, obserwacje bystre, pointy cięte. Ale jest też to, co się często Wojciechowskiemu zdarza: przy bardzo ambitnym, odważnym założeniu, gdzieś - w miarę rozwoju akcji - zaczyna się rozdrabniać ciężar gatunków tematu, gubić w błyskotliwych scenkach, w „grepsach”, w „mozaikowości” ukazywanego przez reżysera obrazu. Zaczyna Wojciechowski jak - (bo ja wiem?): Kieślowski, a kończy niczym Bareja...

Ale jest to dla mnie równocześnie film o wiele lepszy od „Rogu Brzeskiej i Capri” i od „Szarży”, (nie mówiąc już o nieszczęsnych, tak bardzo i tak słusznie krytykowanych „Antykach”) choć, niestety, daleko mu do klasy „wiejskich” tematycznie „Kochajmy się” (1974 r.) oraz „Rodziny” (1975 r.), gdzie m.in. tak doskonale sprawdziła się praca Wojciechowskiego z aktorami niezawodowymi. W „Fetyszu” po raz pierwszy reżyser dokonał „fuzji” aktorów zawodowych z „naturszczykami”, i takie założenie okazało się zupełnie udane.